

# ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej  
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 3 lutego 1917 roku

Nr 5.

Alfred Konar.

## KARYERY.

15

A Romek przespał pierwszą noc w Jędrzejewicach tak, jak śpią jedynie młodzi i zabici. Zbudziwszy się ze snu, wyskoczył w białiznie z łóżka i z dziećcem zaciękawieniem zaczął się — aby nie być widzianym — do okna.

Dzień był piękny, świąteczny, pelen słońca i ciszy.

Przed zachwyconemi jego oczami zajaśniał — zalany słońcem park Jędrzejewicki, z cudną perspektywą zieleni, cały skąpany w brylantach kilkodniowych deszczów. Na szmaragdowych murawach szumiały liście starodrzewia, po królewsku panoszącego się w uroczych kępach i grupach. W krzakach świergotało ptactwo...

Fioleciły się bzy, srebrzyły kłosie rozkwitłych kasztanów, barwiły się w grządkach stokrotki i bratki; a wśród trawników złociły się nie zasiane przez nikogo żółte kwiatuszki. Tu i owdzie ustawione ławki raziły pustką.

I Romek daremnie szukał z po za firanki swego okna wśród wijącego się przed jego oczami gąszczu szpalerów — srebrnej sukienki swojej królewnej z bajki, z podłużnemi oczami koloru morza...

Stary Tomasz, ustawiając na stoliku jakąś nadzwyczajną wiejską białą kawę ze świeżem domowem pieczywem, objaśniał go, że panie, jak każdej niedzieli — wyjechały dziś do kościoła; że on wprowadził tutaj do pokoju już kilkakrotnie pukał, lecz ostatecznie nie śmiał po zmęczeniu podróży być zbyt natarczywym.

Romek z niecierpliwością młodzieńczą ubrał się i pobiegł do ogrodu.

Choć nigdy nie był w Jędrzejewicach, tyle się o nich nasłyszał z opowiadań matki, która urodziła się tu i wychowywała, że znał cały ogród na pamięć; jak gdyby pokutowały w jego duszy przeżyte wspomnienia wszystkich jego dziadów.

I przebiegł bez wytchnienia wszystkie ścieżyny parku, aż do części ogrodu, stykającej się już z sąsiednim laskiem.

Srebrzyły się tu brzozy; a dalej, jakgdyby odarte do krwi ze skóry — czerwieniły się w słońcu sosny, wśród mchów szmaragdowych, całemi szeregami, całe jakby z miedzi lub ze spiżu.

I powrócił znowu do zapuszczonego tarasu z chwiejącemi się schodkami, z kwaterami malw, rezedy, goździków; zająrzał do klatki; ze śmieszna wiewiórką; urwał kilka pierwszych, niedojrzałych jeszcze truskawek i zagłębił się znów w cudach ogrodu.

Przejrzał się w lustrze rzeczułki, wijące się po łączce, i, minawszy niezbyt pewny most, rzucony na stawie — przedostał się do drugiej części parku, jeszcze bardziej zarosłego, pełnego wierzb, topoli, klonów, dębów i akacyj.

W swoim nienasyconiu wiejskiego nowicyusza — dostrzegł hen! w głębi, wśród wzgórz piaszczystych, wyglądającą z po za lasu, pomalowaną już chłopskim gustem na niebiesko — przydrożną kapliczkę.

A dalej biegały szeregi domostw z żórawiami, ogródkami i całym cha-

rakterystycznym dobytkiem wiejskim, którego niezwykła, swoista malowniczość tak rozczula każdego mieszczucha.

I z całą rozkoszą zasiadł na spadzistym brzegu pod starą wierzbą, tuż nad stawem. Zapalił papierosa i wnet jakiś ból z serca go schwycił:

— Co znaczy ten nagły ból bez powodu? Czyżby to były jakieś złe przeczucia na samym wstępie do nowego życia?

Czy też drgają w nim poprostu nie osobiste żale, lecz owe bóle, przeżyte przez jego dziadów, tu, w tym samym miejscu pod wierzbą na wzgórzu z widokiem na martwą, lustrzaną taflę stawu?

Tak, tak. Jędrzejewice były bardzo bogate w dramaty miłosne. Słyszał o nich od dziecka. Zdawało się, że jakieś figlarne amorki bujały wśród tych białych brzozy i odartych krwawo ze skóry szeregów miedzianno-spiżowych sosen.

Może pod tą samą wierzbą, tuż nad stawem, tulił ongi w niedozwolonym przez rodzinę uścisku swoją przyszłą żonę biedny wuj Franek? Może szmery tych samych drzew i plusk tej samej rzeczułki, objijającej się od wieków o kamienie — przysłuchiwały się przed laty miłosnym zwierzeniom Henryka i Ireny?

Ptaszki świergotały w krzewinach tak, jak teraz. Figlarne amorki trzepotem kusyły do zwierzeń, do uścisków, do zaklęć...

Nie pomagały nic przestrogi stateczne ciotki Benisi, która miłość niedarmo znienawidziła i przestrzegała wiecznie:

— Czyż chcecie koniecznie tryumfu dyabła, który was opętał i który z was się śmieje?

— Biedna ciotka nie potrafi — wzruszali ramionami buntujący się młodzi — odróżnić dyabła od gło-



sów aniola! A gdyby to był nawet dyabeł? Biedactwo! Niech tryumfuje! Z zazdrości o szczęście, które go nigdy nie zazna.

I Romek czuje, że, wbrew statecznym zasadom biednej ciotki Benisi, solidaryzuje z nimi najzupełniej; uważałby za nonsens i za najwyższą hańbę uciekać z tchórzostwa przed szczęściem.

Śród niezmaconej ciszy tego ustronnego raj, zajaśniało w samotni marzyciela, śród niebieskośći kłębow dymu jego papierosa, jakby w niebieskiej aureoli — czarowne widmo główki kobiecej, całej z mgieł i z obłoków...

Romek począł przypatrywać się bliżej tej wysnionej: Była cała jasna. Miała płowoblonde włosy i oczy przejrzyste, jak toń morza, powłóczyście, jak u nikogo; zapamiętał też niebieskie źyłki na czole i wyraz niebiańskiej dobroci i smutku.

Przypomnił sobie uścisk jej dłoni, dużej, lecz białej, miękkiej, gorącej, trochę wilgotnej. Wstrząsnął się. Tak. To Zosia, krewniaczka, taka sama, jak ongi Irena! To dziwne!

— Przecież nie ucieknę stąd z obawy, aby w niej nie zakochać się!

Czuł doskonale, że wprost przeciwnie: dusza jego spragniona — łaknie uczucia seryo.

Począł rozmyślać o wczorajszej wieczery.

I znowu poczuł około serca ów nieprzyjemny tępy ból, który trafnie zanalizował z doświadczeniem samo-observatora, z intuicją zakonchanego:

— Tak, tak. Nie mogłem jej się podobać. To rzecz pewna. To — lichy skusiło mnie ubierać się specjalnie dla niej w czapkę błazeńską, w której może być do twarzy jedynie urodzonym kłownom a nie takiemu grabarzowi, jak ja.

I drżał z niecierpliwości, aby już jaknajprędzej mógł przedstawić się jej w innej szacie, niż w tej wczorajszej, anormalnej, w podnieceniu ekscytacji podróźnej.

— A może ona jest wogóle zupełnie inną, niż mi się wczoraj w transie podróźnym wydała? Może i ona była wczoraj tak, jak ja, jeno z lepszym gustem, w nieswoje szaty przebrana? To byłoby najlepiej. Takie zawracanie sobie głowy jest ostatecznie żakostwem!

Nareszcie całe towarzystwo powróciło z kościoła. I całe Jędrzejewice napelnili się gwarem iżywieniem, tak charakterystycznym przy powrocie z kościoła, zabarwiającem monotonię życia wiejskiego zmianą wrażeń, odczuć i obserwacji.

Rozprawiano o kazaniu księdza

o pijaństwie, które to nauki przyjęły z największymi jękami i zawodem najtrzeźwiejsze z parafii; kobiety. Mała Hala na cały głos się rozplakała i poprzyjęgła, że nigdy już nie będzie jadła czekoladek z likworem; pijacy zaś, widocznie zrażeni, niby niezależni od samych siebie kalcey — jakgdyby uważali, że nie należy ich dotykać, jeżeli na ich garby lekarstwa skutecznego niema; zaciskali też ze złym uporem usta.

Rozprawiano o wizycie na plebanii, o różnych spotkaniach i o sąsiedzkich płoteczkach i komerażach.

Na Romka — z inicjatywy ciotki Benisi, zwracano mniej uwagi, chcąc mu dać widocznie do poznania, że przyjęli go wprawdzie wczoraj, jako gościa i krewnego pod warunkiem, aby i on pamiętał, że od dnia dzisiejszego jest już płatnym korepetytorem.

Ciotka Benisia po zastanowieniu się zakonkludowała, że należy krótko trzymać młodzieńców.

Romek doskonale zrozumiał to swoje osamotnienie w obcym bogatym domu; i na sercu bardzo smutno mu się zrobiło. Spojrzał na Zosię. I naraz polubił ten swój smutek dzisiejszy — stokroć więcej, niż wczorajsze ożywienie.

Zosia w białej sukni, w słomianym kapeluszu z polnemi kwiatami, pod niebieską parasolką, która jakimiś refleksami obłoków otaczała niebieską aureolą jej jasną główkę o przezroczystej twarzy z niebieskimi żyłkami i o wielkich kameleonowych oczach — wydawała mu się stokroć piękniejszą, niż wczoraj.

Powiedział też sobie wnet jaknajtrzeźwiej i jaknajpozytywniej:

— Kocham ją. Dlatego też nawet wcale osądzić nie mogę, jaka ona jest. Bo każdy ruch jej i gest, każde spojrzenie — wydaje mi się innym, niż u wszystkich; i przejmuję mnie już nietylko jakimś kultem, lecz poprostu wzruszeniem.

Uparcie spragniony ująć tę wizję z mgieł i obłoków w jakiś kształt konkretny, zakonkludował — zmęczony tą pracą wyobraźni:

— Wiem: To jedwabista, nikła lilia, nenufar, z białą główką, na wiotkiej łodyżce. Cała w półtonach; półpiękność w półśmiesiach, w półwesołości; mówiąca półgłosem, półdowcipami, nigdy nie „zgrywająca się“; nigdy w niczem dwa razy nie podkreślona.

Przypomnił sobie wzruszający go w cudnej naiwności jej półfigiel, kiedy na pół rozbawiona, całując matkę, włożyła jej za szyję pod bluzkę świeżo zerwaną różę, za co rozkochana w niej matka miłośnię jej półpsotę zgromiła.

I półwybuchy jej półśmieszu, kiedy po chwili, przekomarzając się z mademoiselle Céleste, nie chciała zaciekawionej oddać listu, tylko co nadeszłego z poczty; z cudną jednak delikatnością i charakterystyczną jej miarą — nie przewlekła ani na sekundę żartu, który mógłby dotknąć lub razić.

I Zosia z wrodzonym darem panińskim, nie patrząc na niego, nie dostrzeżona — zdolała jednak rozpoznać go całego od stóp do głowy:

Teraz po powrocie z kościoła — wydał jej się znacznie przystojniejszym, niż poprzedniego wieczoru, w którym osądziła go stanowczo zbyt ostro.

Był faktycznie bardzo przystojnym ze swoją cienką sylwetą wysmukłego, delikatnego brunecika o złotawo-oliwkowej cerze, z dużemi aksamitnymi oczami o piwnych źrenicach i o złotych prawie białkach, z wargami po kobiecemu wykrojonymi, przyprószonymi młodzieńczym wosem, nieco jaśniejszym od włosów na głowie. Zresztą jakiś przesadny smutek, który naraz z młodzieńczą niedyskrecją owionął go całego od stóp do głowy, posiadał — rzecz prosta — daleko więcej dla niej czaru, niż jego wczorajsze zadowolenie i bezmyślne anegdotki.

Nie solidaryzowała też w zupełności ze zmianą postępowania z nim całego towarzystwa, na której się od razu poznała. Uważała ten nagły przeskok od wczorajszej serdeczności za zbyt brutalny i za zupełnie niewłaściwy. Pojęła, że osamotnienie, w jakim naraz się tu poczuł — musiało wpłynąć na tę nagłą zmianę jego usposobienia; odgadła, że musiał doskonale na tej zmianie kursu poznać się.

A głównie gnębiła ją myśl, że ona nie potrafi okazać mu, iż nie solidaryzuje w zupełności z tem ich postępowaniem i że on może uważać ją za współniczkę tego niesprawiedliwego spisku przeciwko niemu.

I jedynie bardzo doświadczona w cienkościach dziejów miłosnych mademoiselle Céleste — czytała w sercach dwojga młodych, jak w otwartej książce. I zła, jak osa, iż na tem nudnem wiejskim bezrybiu wymyka się jej jedyny rak, w postaci młodego chłopca, który ponad oczekiwanie wydał jej się przystojnym — zasyczała w głębi:

— Oh! là, là! Teraz rozumiem, dlaczego on na mnie nie patrzy; zachciało mu się platonizmu z kuzynką! Cette fichue de Sophie nadaje się bardzo do takich uczuć. Nie ma wcale piersi! — Zakląła jakąś bulwarową klątwą. — Ah! Bien, en voilà du



guignon! Takie młodzieńcze uczucia na seryo, — to puklerz ze spiżu, trudniejszy do zdobycia, niż forteca starości.

Po obiedzie skorzystała z przyśługującego jej niekiedy zwyczaju wymawiania się migreną. Mogła wtedy usuwać się aż do wieczora do swego pokoju, w którym wypisywała do Francji rozpaczliwe listy, w ja-

ki sposób „on crève d'ennui dans ce pays barbare“.

Następnej niedzielę po obiedzie, kiedy Tomasz uszykował już do świątecznego bridża, do którego — rzecz prosta — nie zapraszano młodego guwenera — ciotka Benisia zaproponowała panu Rudnikowi (według już zadecydowanego ceremoniału — postanowiono tak nazywać ko-

repetytora, krewnego o siódmej wodzie po kisielu), czyby nie zechciał dla zbliżenia się ze swymi uczniami — udać się na spacer przez park do sąsiedniego lasu, którego zapewne jeszcze nie zna; następnie mogliby przejść przez łąki na wieś, aż het! koło młynów do karczmy.

*Dalszy ciąg nastąpi.*

RABINDRANATH-TAGORE <sup>1)</sup>.

## Pieśni ofiarne.

### I.

Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata  
Zbór wielki dzieci. Bez chmurnego płata  
Zawisło niebo kręgiem na przestworze —  
Lecz — niespokojne i szumiące morze.  
Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata  
Zbór wielki dzieci — hasa, figle płata.

Domki buduje sobie dziatwa z piasku,  
Muszelki zbiera, mieniające się w blasku, —  
Wachlarzykami swe małe okręty  
Niecąc, ze śmiechem wpędza na odmęty:  
Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata  
Dziatwa wesół w pomysły bogata.

Pływać po morzu nie umięją dzieci,  
Ani nie wiedzą, jak zarzucać sieci...  
Szukacze perł nurkują głębina,  
Kupcy na statkach w daleki świat płyną,  
Podczas gdy dziatwa z wesółym szczebiotem  
Skorupki zbiera — by je rzucić potem:  
Ukrytych skarbów nie szukają dzieci,  
Ani nie wiedzą, jak zarzucać sieci...

Morze wybucha śmiechem: biała piana  
Na brzeg się toczy, wciąż rozchychotana.  
Fale, śmierć w kółko wynosząc na szranki,  
Śpiewają dzieciom długie kotysanki,  
Właśnie — jak matka, gdy z jednego wątka  
Kołysek buja swojego dzieciątka:  
Morze się bawi z dziećmi: biała piana  
Na brzeg się toczy, wciąż rozchychotana.

Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata  
Zbór wielki dzieci. Burza kołowata  
Tam na dalekim niebios firmamencie  
Gromami huczy, — w bezdrożnym odmiecie  
Statki się kruszą i, jak piórka, trawia, —  
Śmierć stapa falą — a dzieci się bawia —  
Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata  
Zbór wielki dzieci...

### II.

Był czas, gdym nie wiódł dla Ciebie uprawy —  
I oto, serce i wzrok mój nieprawy  
Kiedym niósł w tłumie i z tłumem zmieszany,  
Tyś, Panie, wtedy jeszcze mi nieznaną,  
Wycisnął sygnet wieczności na wielu  
Chwilach mojego przelotnego celu.

Dziś, kiedy światłem już przejrzałem świeciej  
I odczytuję rysy Twej pieczęci,  
Widzę, że wszystkie te minione chwile  
Leżą zmieszane i w kurzu, i w pyłe,  
Smutków, radości sypiąc się pamięcią  
Dni moich — z Twoją, o, Boże, pieczęcią!

Ale Tyś lica nie odwrócił w blasku  
Ze wzdargą od tych moich zabaw w piasku,  
I kroki, które-m był słyszał w pokoju  
Moim dziecięcym, tajemne w zesroju,  
Są to te same, które dziś wyżyną  
Twoją echami od gwiazd do gwiazd płyną.

### III.

Rankiem mi wietrzyk wyszeptał pobudkę.  
Że popłyniemy razem z Tobą łódka,  
Jedno ja z Tobą — i już o tej znowie  
Żadna się dusza na ziemi nie dowie,  
O tem pielgrzymstwie naszym w kraje słońca,  
Ach, nie do brzegów — ale już bez końca.

Na tym bezbrzeżnym blasków oceanie  
Ty będziesz słuchać z milczącym uśmiechem, —  
A moje pieśni, jak światła wylanie,  
Popłyną jednym miłości oddechem,  
Wolne, jak fale, i wolne, jak skrzydła,  
Wolne od ziemi i od słów wędzidla.

Więc chwila jeszcze ta nie przyszła złota?  
Więc ciągle jeszcze tutaj ta robota?...  
Oceanowy brzeg gaśnie w zamięci  
Pyłów słonecznych, i zmierzch już zapada —  
W stygnącym świetle pospieszna gromada  
Morskiego ptactwa do gniazd swoich leci...

I któż wie, kiedy nadbrzeżna i krucha  
Łódź więzy swego odczepi łańcucha —  
I, jak ostatni szmer słońca na fali,  
Zadrgnie i zniknie w nieprzejrzanej dali?...

JÓZEF JANKOWSKI.

<sup>1)</sup> Poeta hinduski, laureat nagrody Nobla. Większy wybór tych pieśni ukaże się niebawem w wydaniu książkowym.



## Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ch aktach.

5

## AKT II.

*Gabinet w mieszkaniu Leńskiego. Na lewo drzwi do przedpokoju, na prawo — do dalszych pokojów, w głębi — duże drzwi rozsuwane do salonu. W gabinecie meble angielskie, satianowe, wygodne. Biurko. Na ścianach obrazy, niektóre treści frywolnej. W wazonach dużo kwiatów.*

## SCENA 1.

LEŃSKI — SŁUŻĄCY.

LEŃSKI (w smokingu, wychodzi z prawej strony, za nim służący w liberyi, — który zostaje przy drzwiach). Zdaje mi się, że wszystko w porządku.

SŁUŻĄCY. Tak jest, jasnie panie.

LEŃSKI. Skoro przyjdą muzycanci z kwartetu, usadowisz ich zaraz tam, w salonie, przy fortepianie (gestem wskazuje drzwi w głębi). Otwórz drzwi do przedpokoju... (siada wygodnie w fotelu i zapala papierosa. Służący tymczasem idzie do drzwi na lewo i rozdziela je). Jeśli teraz odezwie się dzwonek, nie fatyguj się. Ja sam otworzę.

SŁUŻĄCY. Rozumiem, jasnie panie.

LEŃSKI. I nie wolno mi przeszkadzać... pod żadnym pozorem! Zamknij drzwi od salonu na klucz (służący wykonywa rozkaz). Jeśliby nadszedł kto z gości, dasz mi znać tędy (ręką wskazuje drzwi na prawo). Zapukasz lekko... Rozumiesz?

SŁUŻĄCY. Rozumiem, jasnie panie.

LEŃSKI. To wszystko... (w przedpokoju dzwonek, Leński powstaje żywo. Służący, zapominając o instrukcjach, biegnie do przedpokoju, lecz po drodze Leński chwytą go za kołnierz i osadza na miejscu). Cóż za bałwan! Tak pięknie mię zrozumiałeś? Umykaj... (pchnął go w stronę drzwi na prawo, sam spieszy na lewo).

## SCENA 2.

LEŃSKI — KRYSZYNA.

LEŃSKI (wprowadza Krystynę, w płaszczu futrzanym, na głowie szal koronkowy). Posiada pani cnotę królewską. Punktualność!...

KRYSZYNA (z trudnością tai niepokój i pomieszanie). Dotrzymuję zawsze słowa. Choć to szaleństwo doprawdy niepotrzebne. Jeśli kto przyjdzie wcześniej!..

LEŃSKI (prowadzi ją do małej kanapy, zdejmując okrycie, które rzuca na fotel obok). Niech pani siada tu... wygodnie, i żadnych obaw! Wszystko przewidziane i zabezpieczone. W tym lokalu kobieta może stracić cnotę. Nigdy — reputacyi.

KRYSZYNA (już potrochu odzyskała swobodę, śmieje się). Zamek Don Juana, o stu i jednym wyjściach. Czy są także korytarze podziemne?

LEŃSKI. Wie pani, jestem w tej chwili naprawdę szczęśliwy. Po raz pierwszy jestem z panią sam... po za oczyma obcych. Brak mi do zupełnego szczęścia tylko jednej rzeczy... (Krystyna pyta go wzrokiem). Żeby tamci wszyscy nie przyszli.

KRYSZYNA (zerwała się, przeżona). Jaki, oni mogą nie przyjść?

LEŃSKI (nie wstając, przytrzymuje ją za rękę i sadza z powrotem na kanapie). Niech się pani nie lek! Przyjdą! Przyjdą za wcześniej. Próba generalna, w kostiumach! Nikt nie chybi! Pudła z sukniami już czekają. Co za radość, przebieierać się w garderobie Leńskiego! Sprawdzą wszystkie moje flakony, zajrzą do każdej komody. Musiałem za-wczasu zrobić gruntowną rewizję.

KRYSZYNA (śmieje się). Żeby się nie znalazł jakiś kompromitujący penjoar?...

LEŃSKI. Pani ma o mnie bardzo dobrą opinię. Niestety! W rzeczywistości...

KRYSZYNA. Niech pan nie udaje skromnego.

LEŃSKI. Wcale nie udaję. Jest jeszcze w mieście dość burżuazek, które chciałyby zaspokoić ciekawość, jak to z tym Leńskim...

KRYSZYNA. Jest pan wstrętny!

LEŃSKI (kończy). Ale drzwi zamknięte. Starszemu panu coraz mniej kobiet się podoba. Czy pani uważa, że dawniej było daleko więcej ładnych kobiet?

KRYSZYNA. Przeciwnie... Nigdy nie spotykałam tyle pięknych...

LEŃSKI (melancholijnie). Tak wszyscy mówią, a mnie się wydaje inaczej. I jeszcze coś gorszego. Stałem się sentymentalnym. Szukam miłości.

KRYSZYNA (z uśmiechem). I to ma być źle?

LEŃSKI. Starzeję się.

KRYSZYNA. Pan ciągle kokietuje swoim wiekiem, a przecież sam pan wie najlepiej... (urwała).

LEŃSKI. Że co?

KRYSZYNA (po chwili wahania) ...że pan się podoba.

LEŃSKI. Na seryo... mógłbym się podobać pani?

KRYSZYNA (j. w.). Na seryo?.. Nie wiem, jak pan to rozumie. Ale to wiem, że dla pana zrobiłam pierwsze w życiu szaleństwo.

LEŃSKI. Że pani zgodziła się, przyjść przed innymi, porozmawiać trochę ze starym przyjacielem?

KRYSZYNA. Naprzód — nie jest pan stary, a potem — przyjaźń nasza jest bardzo świeża.

LEŃSKI (niedbale). Nie chce pani wypić kieliszka wina? Zanim tamci przyjdą?

KRYSZYNA (porywczo). Nie... nie!...

LEŃSKI. Ja mam takie pragnienie.

KRYSZYNA (obojętnie). Niech się pan napije.

LEŃSKI (wstaje). Pani pozwoli? (idzie na prawo i za chwilę przynosi butelkę szampańskiego wina, przysłoniętą serwetą i widocznie zawczasu przygotowaną, oraz dwa płaskie kieliszki). Zakazałem słuzącemu, żeby tu wchodził... (stawia butelkę i szklaneczki na małym niskim stoliku i nalewa).

KRYSZYNA (postrzegłszy, że napełnia oba kieliszki). Ja nie będę piła.

LEŃSKI. Dobrze... dobrze... (trąca o jej kieliszek). Niech pani chociaż umoczy usta.

KRYSZYNA (przytknęła szklaneczkę do ust, odstawiła ją i śmieje się w milczeniu).

LEŃSKI. Z czego się pani śmieje?

KRYSZYNA (przekornie). Czy ta butelka szampana figuruje zawsze w programie akcji zaczepnej?

LEŃSKI (śmieje się). Jaka pani podejrzliwa! Gdy się odczuwa pragnienie, trzeba się napić. Innego wyjścia z tej sytuacji dotychczas nie wynaleziono... Droga pani na oko siebie widzi zdradziecką sieć intryg i podstępów... Prawda? Czuwaj, złota rybko, abyś nie wpadła w łapy chytrego i przebiegłego rybaka.

KRYSZYNA (poważniej). Wcale nie. Mam przekonanie, że pan jest człowiekiem, któremu można ufać.

LEŃSKI. Ufać! Nie mogła pani znaleźć przykrejszego słowa! Niestety! Ja już budzę zaufanie! Jestem odpowiednią do zwierzeń. Młode mężatki przychodzą do mnie spowiadać się ze swoich trosk i prosić o radę. A czy pani wie, że w takiej starej wierzbie dyabeł zapala czasem ogień? I stara wierzba duma wówczas o wiosnie, kiedy gałęzie jej były strojne w świeżą zieleń, kiedy w bujnym jej listowiu radowały się miło-



śnie małe ptaki. Nie dla ciebie już ten świergot weselny!...

KRYSTYNA (z uśmiechem, ale nie umiając się obronić sympatii). Czy pan o niczem innem nie myśli?

LEŃSKI. Droga pani, wyrzec się tego, co jest w życiu najcudniejszem, — ciężko! Najcudniejszą rzeczą w życiu jest młodość. A czy młodość da się pomyśleć bez kochania? Człowiek w moim wieku szuka miłości, tak jak człowiek, który to nie, szuka deski.

KRYSTYNA. Panie! Ja chyba nie jestem podobna do deski?

LEŃSKI (śmieje się). Nic a nic! (trąca w jej szklanczkę, ona już zapomniata o swem postanowieniu i pije). Niech się pani nie dziw! starszemu panu, że się broni przed ostateczną rezygnacją... Pani wie, polska jesień miewa nieraz słoneczne dni, pełne dziwnych woni i uroku. Zdaje mi się, że przy pani i przez panią mógłbym przeżyć jeszcze taki rozkoszny dzień!

KRYSTYNA (zalognie). Tylko jeden dzień?

LEŃSKI (nalewa kieliszki). Taki dzień trwa długo, bo jest ostatni przed zimą... przed śmiercią.

KRYSTYNA (pije). Pan jest bardzo miły.

LEŃSKI (całuje ją długo w rękę). Naprawdę?

KRYSTYNA. Tylko nie mogę zrozumieć, że pan o niczem innem nie myśli...

LEŃSKI. Tak... jestem zupełnie bezużyteczny. Żadnych instynktów społecznych, żadnych ambicji... Jestem trochę artystą, ale tylko w jednym kierunku.

KRYSTYNA. W jakim?

LEŃSKI. Mojem pragnieniem zawsze było uczynić z miłości rzecz piękną... Pani kocha swego męża?

KRYSTYNA. Tak.

LEŃSKI (z autorytetem). Taką miłość można przyrównać do krzaku polnej róży, co wzrósł, zasiany przypadkowym podmuchem wiatru, samorzutnie... jak Bóg dał. Ja pielęgnuję moje kwiaty w cieplarni. Staram się, żeby były pełniejsze, żeby miały największe bogactwo barwy i zapachu. To, co pani przeżywa z mężem, jest naturalne, ładne i powszednie. Życie nie da nigdy tych wrażeń, jakie stwarza sztuka.

KRYSTYNA (zalognie). Kusić! (pija).

LEŃSKI. Jakże pani ma cudne oczy! Patrząc w oczy pani, doznaję zawsze tego samego, uporczywego wrażenia, że tkwi w nich blask słonecznego ranka lipcowego (bierze jej rękę w swoje dłonie). Gdyby pani była bardzo... bardzo dobrą, uczyniłaby mi pani jedną łaskę.

KRYSTYNA. Jaka?

LEŃSKI. Nie śmiem powiedzieć.

KRYSTYNA. Tej cnoty w panu nie podejrzewałam.

LEŃSKI. Wobec pani tracę pewność siebie.

KRYSTYNA. Mam pana zachęcać?

LEŃSKI. Pozwoliłaby pani pocałować się choć w jedno z tych ślicznych oczu.

KRYSTYNA (śmieje się zalognie). Tylko w jedno?

LEŃSKI. Powiedziałem: choćby!

KRYSTYNA. Pan nie jest wyimagający!

(Leński trzyma ją za rękę, spogląda prosiącym wzrokiem. Ona uśmiecha się, zmieszana. Leński pochyla się ku niej, a gdy nie spotyka silniejszego oporu, przyciąga do siebie i nagłym ruchem całuje mocno w usta).

KRYSTYNA (wyrwała się i wstała, zła). Panie, miał mi pan pocałować w oczy!

LEŃSKI (pokorny). Przepraszam... pomyliłem się.

(Stoją przez chwilę naprzeciw siebie. Krystyna zła, on pokorny, — w kątach jej ust błąka się jednak już uśmiech).

KRYSTYNA (oficyjalna). Obawiam się, że nie będę mogła doczekać się pańskich zaproszonych.

LEŃSKI (usiłuje wziąć ją za rękę, ona cofa ją). Pani się gniewa?

KRYSTYNA (szczerze). Tak.

LEŃSKI. Niechże pani zrozumie... Zgodziła się pani przyjść...

KRYSTYNA. Zrobiłam źle.

LEŃSKI. Ale już tego odrobić nie można. Stało się.

KRYSTYNA. Przepraszam... nic się nie stało...

LEŃSKI. Nie wyobrażałem sobie, iż pani umie być taką złą...

KRYSTYNA. To pan mię wcale nie zna...

LEŃSKI (siadł w fotelu). Szkoda!... (zapala papierosa).

(Krystyna idzie swolna do krzesła, na którym leży jej płaszcz, i nakłada koronkę na włosy).

(W drzwiach z prawej strony odzywa się pukanie).

KRYSTYNA (przerażona, półgłosem). Co to jest?

LEŃSKI (porwał się z fotela). Nie wiem (idzie do drzwi). Kto tam?

SLUŻACY (z za drzwi). To ja. Proszę jaśnie pana.

LEŃSKI (zły). Czego chcesz? Mówiłem ci, że nie wolno mi przeszkadzać.

SLUŻACY. Proszę jaśnie pana. Przyszła jedna pani i powiedziała, że ma bardzo ważny interes. Powiedziałem, że jaśnie pana nie ma w domu. Ona powiedziała, że jaśnie pan musi być i dała mi kartkę. Ja powiedziałem, że zobaczę, czy jaśnie pan nie wrócił.

LEŃSKI. Daj tę kartkę... (wysunął rękę przez uchylone drzwi, wziął bilecik i czyta z widocznem zdziwieniem). Nic nie rozumiem.

KRYSTYNA (strwożona). Co się stało?

LEŃSKI (nachmurzony). Nie wiem... Pan pozwoli, że na moment wyjdę do salonu.

KRYSTYNA (j. w.). Chce mię pan zostawić samą?

LEŃSKI (po chwili wahania, zdecydował się). Niech pani czyta... (podaje jej bilet).

KRYSTYNA (czyta głośnie). Ewa Hamelbein... Idzie o mój honor... muszę z panem natychmiast pomówić... (do Leńskiego). Co to ma znaczyć?

LEŃSKI (niezadowolony). Niech mię dyabł wzmą, jeśli rozumiem. Ja nie mam nic wspólnego z jej honorem.

KRYSTYNA. Musi pan wyjść... Ale co ja zrobię?

LEŃSKI. Niech pani wejdzie tu... (wskazuje drzwi na prawo). (Krystyna zawałała się). Niech pani się nie lęka... Ja wprowadzę ją temi drzwiami (wskazuje na drzwi w głębi), zamknę, a pani wtedy przejdzie do salonu. Tam już są muzykanci.

KRYSTYNA (niezupełnie zdecydowana). Dobrze (bierze płaszcz na rękę).

LEŃSKI (idzie do drzwi na prawo i uchyla je). Powiedz tej pani, że zaraz przyjdę.

SLUŻACY (z za drzwi). Słucham jaśnie pana.

(Leński daje znak Krystynie, by podeszła).

KRYSTYNA (zbliżyła się doń). Wie pan... ja wolę przejechać się do rożką i wrócić, gdy już będzie więcej gości.

LEŃSKI (z wyrzutem). Nie ufa mi pani?

KRYSTYNA (filuternie). Gdybym powiedziała, że ufam, obraziłabym pana. Gniewa się pan na mnie?

LEŃSKI. Przed kwadransiem zdawało mi się, że — jak Faust — jestem w posiadaniu eliksiru młodości. Teraz mam sto lat.

KRYSTYNA (podsuwa mu z uśmiechem rękę do ust). Znajdź pan ów eliksir gdzieindziej (Leński całuje jej rękę). Można? (wzrokiem pyta, czy może iść na lewo).

LEŃSKI (zarzucił jej płaszcz na ramiona, a potem idzie szybko do drzwi na lewo, zajrzał do przedpokoju). Niech pani idzie.

(Krystyna szybko wychodzi na lewo, Leński za nią. Po chwili Leński wraca, zamyka za sobą drzwi na klucz, idzie do drzwi w głębi, ostrożnie przekęca klucz, żeby nie było słychać, — otwiera drzwi).

Dalszy ciąg nastąpi.



## Dziwne praktyki pana Filipskiego.

Antoniowa była wielce zdumiona, gdy podawszy panu Filipskiemu garnuszek rannej kawy z dobrze przydymionym mlekiem, nie usłyszała należącego za to „hałasu“.

To ją ośmieliło, że zdobyła się na samooskarżenie:

— Trochę się, proszę pana, to mleko dziś — — —

— Nie trochę, moja Antoniowo, ale porządnie jest „z księdzem“! — fuknął wesoło pan Filipski.

Ale pił dalej bardzo chciwie. Dopiero do końca, poklepał Antoniową po plecach i rzekł:

— Jutro Antoniowa da mi na rano samą kawę, bez mleka.

Antoniowa zawrzała świętem oburzeniem:

— Przecie jutro nie będzie się musiało mleko znów — — —

— Nie idzie wcale o przydymienie, moja Antoniowo: i gorsze mleko można wypić. Ale od jutra przez kilka dni będę pił na rano dwie szklanki kawy czarnej.

A widząc rozwarłe źdźwiżeniem (pan Filipski, człowiek dbały o stan swoich nerwów, niechętnie wogóle pijał czarną kawę) oczy swej gosposi, dodał wymijająco:

— Widzi Antoniowa, doktor mi zalecił...

Nazajutrz Antoniowa była w nowych opałach. Mleka nie zagotowywała, więc przydymić się nie mogło, ale zdarzyło się coś innego. Oto w dbałości o zdrowie swego chlebobawcy, nie chcąc panu Filipskiemu dawać tak dużej dozy mocnego napoju, umyśliła Antoniowa moc jego — wygotować. Gotowała więc, gotowała, aż więcej, niż połowa zawartości wybuzowała na blachę... A była to akurat resztką zapasu kawy! Nie czas było schodzić na dół do sklepu, doprawiła więc naprędce do pełna cykorya, zalała wodą wrzącą i podała.

Pan Filipski ledwo umoczył usta, skrzywił się potężnie:

— Czy za mocna, proszę pana?

— Gdzie tam!

— Może za gorzka?

— Dyabła tam! Słaba i kwaśna: obrzydliwa lu — — —

Już chciał odstawić szklankę machinalnym ruchem, ale uśmiechnął się i począł pić dalej z zupełnym zadowoleniem.

Wypiwszy, znów poklepał Antoniową i rzekł:

— Jutro może kawa być jeszcze słabsza i kwaśniejsza...

Nazajutrz—nowe nieszczęście! Przy drugiej szklance zbrakło cukru? Antoniowa z tego wszystkiego postradała całkiem głowę: zapomniała dziś kupić... Zerwała się więc...

Ale pan Filipski ją zatrzymał.

— Nie potrzeba. Bardzo dobrze właśnie...

I z błogim uśmiechem na twarzy, wypił drugą szklankę kawy bez cukru. Późem kazał sobie przygotować taką samą porcję na kolację. I zamiast bia-

łego pieczywa, które zwykle na wieczór jadał, bochenek chleba kartkowego — pierwszy od chwili wprowadzenia.

— Ojej, zaszkodzi panu! — przerażała się Antoniowa:

— Tyle ludzi je chleb kartkowy i żyje — filozoficznie zauważył pan Filipski. — Może gorszy jeszcze jedzą... — dodał znacząco.

Idąc na spoczynek, zażądał od Antoniowej, by mu przyniosła budzik swój z kuchni i nastawiła go na czwartą rano.

— Na kolej pan jedzie?

— Nie... — zażenował się zlekka pan Filipski. — Może Antoniowa nie wstawać. Mam pilną robotę w domu do wykonania. Proszę Antoniową nawet, żeby się nie budziła — dodał po chwili tonem stanowczym.

Posłuszna poleceniu, tej nocy nie wstawała. I drugiej również. Ale na trzecią, wiedzioną niezwalczoną ciekawością, pobiegła do stróżki, pożyczyla drugiego budzika dla siebie i nastawiła go także na czwartą. Ubrała się spiesźnie, podkrađła się cichutko pod drzwi chlebobawcy i jęła podglądać.

W kilka godzin później, około południa, opowiadała stróżce z wielkim przejęciem, co następuje:

— Wstaję ja dziś o czwartej, moja pani, mróz na dworze, w pokojach nie- napalone (nie dał pan palić z wieczora, że to tyle ludzi w polu jeszcze gorzej ziębnie, powiada...), a mój panisko ubrał się w paletot, dygoce z zimna i stoi w kącie wyprostowany z kijem na plecach. Budzę się jeszcze raz o piątej, zachodzę, a on stoi. Zachodzę koło szóstej — furt stoi! Moja pani, słyszane rzeczy? Na czterdziestkę mu idzie, a takie praktyki dziwne odprawiał...

Sensacya Antoniowej doszła do najwyższego napięcia, gdy w dwa dni potem pan Filipski wychodząc do biura zadysponował na obiad zamiast mięsa — dwa

śledzie i porcję kartofli. Nazajutrz kazał jeszcze tę porcję pomieszać pół na pół z brukwią! Antoniowa patrzyła z przerażeniem, gdy pan Filipski jadł i jeszcze sobie chwalił.

Ale już koroną tych dziwnych „praktyk“ było dane pod koniec tygodnia polecenie, by Antoniowa ani na obiad, ani na kolację, ani na śniadanie dnia następnego nie szykowała nic dla pana Filipskiego.

Gdy nadszedł pierwszy zamówiony posiłek, pan Filipski ociągał się jeszcze dobrą godzinę ze spożyciem, a gdy zjadł, twarz jego jaśniała dumą zadowolenia.

Wstając od stołu, mruknął do siebie kilkakrotnie:

— To wszystko nie jest wcale takie trudne...

I ze szczerej uciechy, zaczął nucić zasyłaną chłopską melodyjkę:

„Pod Krakowem czarna rola  
Ja jej — — —“

Przy strofice o „pierścionku, którego nosić nie będzie“ przywołał Antoniową i ku nieopisanej jej radości zadysponował na jutro normalny, wręcz suty obiad, tłómacząc, że od dziś wieczorem będzie „na urlopie“.

Niebardzo zrozumiała pocziwa gosposia, o jaki to urlop ma chodzić — niemniej nazajutrz, około południa, dzieliła się ze stróżką radosną nowiną, że z panem jest już zupełnie dobrze, że będzie miał dziś kotlet cielecy z marchewką na obiad, że tylko dziwi ją to, iż pan, jak tylko ona wróci od sprawunków z miasta, zaraz ją przywołuje i dopytuje się goraco, co się dzieje na ulicy, czy ludzie się nie gromadzą i nie czytają czego na murze?

— Moja pani kochana, czego on się tak spodziewa? Bo to nie wszystko już zarewirowane?...

B. Górczyński.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego  
przez H. J. P.

## W oczach Zachodu.

5

POWIEŚĆ.

Oczywiście, nie był zmurszałym reakcjonistą. Nie wszystko było tu najlepszym. Despotyczna biurokracya... nadużycia... przekupstwa i tak dalej... Potrzeba było zdolnych ludzi. Światłych umysłów. Szlachetnych serc. Ale absolutna władza powinna była zostać — narzędzie gotowe dla człowieka — dla wielkiego autokraty przyszłości. Razumow wierzył w niego. Historyczna logika czyniła go nieuniknionym. Położenie ludu domagało się go.

— Cóż innego? — zapytywał sam siebie Razumow z zapalem — mogłoby poruszyć tę masę w jednym kierunku? Nic innego. Nic, tylko jedna czyjaś wola.

Był przekonany, że poświęcał osobistą tęsknotę za liberalizmem,

odrzucając ponętny błąd dla surowej, rosyjskiej prawdy.

— To jest patryotyzm — zauważył w duchu i dodał: — Tu wpół drogi zatrzymać się nie można.

Po chwili dorzucił jeszcze:

— Nie jestem tchórzem.

I znowu zapanowała śmiertelna cisza w piersi Razumowa. Szedł ze zwieszoną głową, zwolna, nie ustępując nikomu, a powracające myśli opanowywały go znowu.

— Kimże jest ten Haldin? Kim ja jestem? Ja i on — dwa ziarnka piasku. Ale olbrzymie góry powstają z takich nic nie znaczących ziarenek. A śmierć jednego człowieka lub wielu ludzi, to w gruncie rzeczy drobnostka. A jednak zwalczamy zarazę. Alboż ja pragnę jego śmier-



ci? Bynajmniej. Ocaliłbym go, gdybym mógł — ale tego nikt nie dokaże — to uschnięty członek, który trzeba odciąć. Jeżeli mam zginąć przez niego, niechże przynajmniej nie ginę z nim, związany wbrew mojej woli z jego ponurem waryactwem, które nie rozumie ani ludzi, ani rzeczy. Czemu mam zostawiać po sobie fałszywą pamięć?

Przemknęło mu przez głowę, że na całym świecie nie było nikogo, ktoby dbał o to, jaką on pamięć po sobie zostawi; lecz powiedział sobie natychmiast:

— Zginąć marnie dla jakiegoś chimery... fałszu! Co za nędzny los!

Znajdował się teraz w bardziej ożywionej części miasta. Szedł wciąż zwolna, pogrążony w myślach, patrząc wprost przed siebie.

Nagle na śniegu wpoprzek tro-tuaru ujrzał Haldina. Leżał na wznak, w ciemno-bronзовym, obcisłym pal-cie i długich butach, z wywróconemi dłońmi na oczach.

Ta halucynacja była tak wy-raźną, tak niemal dotykálną, że Ra-zumow mimowoli sięgnął ręką do kieszeni, by się upewnić, że ma w niej klucz od pokoju. Lecz w tej sa-mej chwili skrzywił pogardliwie u-sta. Zrozumiał. Myślał z takim na-tężeniem o tej postaci leżącej tam na jego łóżku, że to go doprowadziło do tego zdumiewającego złudzenia wzroku. Spokojnie, nie zmieniając chodu i patrząc daleko przed siebie, przeszedł po owem widziadłe, dozna-wszy jedynie lekkiego ściśnienia w piersiach. Następnie odwrócił się i zobaczył jedynie świeże ślady stóp swoich na miejscu, gdzie leżały pier-si widziadła.

— Dziwna rzecz — szepnął w zdumieniu. — Zupełnie, jak żywy. Byłbym przysiągł, że oddycha. I właś-nie tak na mojej drodze! Nadzwyczajne!

Uszedł jeszcze kilkanaście kro-ków i mruknął przez zaciśnięte zęby:

— Trzeba z nim skończyć.

Otulił się szczelnie płaszczem i nasunął czapkę na oczy:

— Zdrada. Wielkie słowo. Cóż to jest zdrada? Mówi się o człowieku zdradzającym swój kraj, przyja-ciół, kochankę. Musi tu istnieć przede-wszystkiem jakiś moralny zwią-zek. Człowiek może jedynie zdra-dzić swoje sumienie. A gdzież tu wchodzi w grę moje sumienie; jakie węzły wspólnych wierzeń, wspól-nych przekonań wiążą mnie, abym się pozwolił wciągać w prze-paść temu fanatycznemu idyocie? Wprost przeciwnie.

Rozejrzał się dokoła z pod czapki.

— Cóż mi mogą przesady świa-ta zarzucić? Czym wywołał jego zaufanie? Nie. Czy bodaj jednym słowem, jednym spojrzeniem upo-ważniłem go do przypuszczenia, że przyjmuję to zaufanie? Nie! Pra-wda, że zgodziłem się pójść do Zie-mianicza. I poszedłem. I zламаłem na nim widły — na tym pijaku.

Zastanowił się chwilę.

— W każdym razie — pomy-słał — lepiej będzie zachować tę oko-liczność przy sobie.

Minał zakręt wiodący do jego mieszkania i znalazł się na szerokiej, eleganckiej ulicy. Niektóre sklepy były jeszcze otwarte i wszystkie re-stauracye. Światła padały na cho-dniki, po których mężczyźni w ko-sztownych futrach, tu i owdzie w to-warzystwie wytwornych kobiet spa-cerowali zwolna. Razumow spoglą-dał na nich z pogardą surowego wy-znawcy dla lekkomyślnego tłumu. Oto był wielki świat: ci oficerowie, dygnitarze, urzędnicy, członkowie Yacht Clubu. Wypadek ramny do-tknął ich wszystkich. Coby też rze-kli, gdyby wiedzieli, co ten student w płaszczu zamierza uczynić.

— Ani jeden z nich nie potrafi myśleć i czuć tak głęboko, jak ja. Iluż z nich byłoby zdolnych spełnić czyn przekonania?

Razumow szedł coraz wolniej jasno oświetloną ulicą. Powziął już stanowcze postanowienie. Prawdę rzekłszy, trudno to było nazwać po-stanowieniem. Poprostu uświadomił sobie to, co zamierzał uczynić od po-czątku. A jednak czuł potrzebę czy-jejs sankcyi.

Z jakimś bolesnem uczuciem powiedział sobie:

— Chcę, żeby mnie zrozumiano.

Ogarnęła go melancholijna tę-sknota zaufania, jego, który wśród ośmdziesięciu milionów swoich roda-ków nie miał jednego serca, przed którem mógłby się wywnętrzyć.

O adwokacie nie było co my-sleć. Razumow zbyt go lekceważył. Nie mógł również otworzyć swego sumienia przed pierwszym policyan-tem na rogu. Ani też pilno mu było iść do komisarza cyrkułu, w którym mieszkał. Zaniedbana powierzcho-wność tego urzędnika, wiecznie ćmiącego papierosa, nie zachęcała do zwierzeń.

— Prawdopodobnie zacząłby od tego, że mnieby zaaresztował — po-myślał Razumow. — A w każdym razie narobiłby hałasu.

A taką czyn przekonania musi być spełniony z godnością.

Razumow łaknął jakiegoś słowa zachęty, rady. Któż wie dobrze, czym jest prawdziwe osamotnienie? Najnędzniejszy wyrzutek chowa w

duszy jakąś pamięć, jakieś złudze-nie. Raz po raz fatalny zbieg oko-liczności odsłania na chwilę oblicze tego duchowego potwora. Na chwi-lę tylko. Żadna ludzka istota nie mo-głaby znieść stale widoku moralne-go osamotnienia. Toby ją doprowa-dziło do waryacyi.

A Razumow właśnie stanął na tym punkcie. I na chwilę ogarnęła go szalona chęć pobiedz do mieszka-nia, paść na kolana przed wycią-gniętą na łóżku ciemną postacią, wy-znać wszystko w namiętnej spowie-dzi, któraby wstrząsnęła najgłębszą jaźnią tego człowieka, któraby się skończyła łzami i uściskami, nieopł-sanem zespoleniem dusz, jakiego świat nigdy dotąd nie widział. To byłoby wzniosłe!

Drżał już i płakał wewnętrznie. Ale czuł zarazem, że na zewnątrz wygląda, jak spokojny student w płaszczu, który sobie wyszedł na przechadzkę.

Nagle stanął. Mignęły mu ja-kieś siwe wąsy, i w jednej chwili wi-dok ten przelotny wywołał w jego pamięci postać księcia K., tego czło-wieka, który uściśnął mu rękę, jak nigdy nikt inny — uściśnął zlekka, lecz przeciągle, na podobieństwo po-tajemnego znaku lub wpół mimowol-nej pieszczoty.

I Razumow aż zdumiał. Dlacze-go nie pomyślał o nim pierwszej?

— Senator, dygnitarz, znakomi-ta osobistość. On!

Kolana ugięły się pod nim zlek-ka. Wskoczył w sanki i krzyknął na woźnicę:

— Do pałacu księcia K.. Jazda!

Wystraszony muzyk, zarośnięty po same białka, odpowiedział uniże-nie:

— Słyszę, Wasza Wysoka Wiel-możność.

Szczęściem to było dla Razumo-wa, że książę K. nie należał do ludzi tchórzliwych. W dzień zabójstwa prezesa ministrów ogromne przygnę-bienie i trwoga panowały w wyż-szych urzędowych sferach.

Książę K. siedział sam, smutnie zadumany w swoim gabinecie, gdy wystraszona służba przyszła oznaj-mić, że jakiś tajemniczy młodzieniec wdął się przemocą do hallu, nie po-wiedział ani swego nazwiska, ani in-teresu, jaki go sprowadza, i nie chce ustąpić, dopóki nie zobaczy się z Je-go Ekscelencyą.

Książę K. zamiast zamknąć się na klucz i zatelefonować po poli-cję, jakby to na jego miejscu uczy-niło dziewięć-dziesiątych dygnitarzy, wstał i otworzył spokojnie drzwi ga-binetu.

W hallu, otoczony gromadą lo-



kai, blady, jak śmierć, z pałającymi oczyma stał Razumow.

Książę poznał go natychmiast. Stropił się tem niepomnie, a nawet oburzył. Ale jakieś uczucie szacunku dla samego siebie nie dozwoliło mu kazać wyrzucić za drzwi tego młodzieńca sługusom. Nieznacznie cofnął się do swego pokoju i po pewnej chwili zadzwonił. Razumow usłyszał w hallu złowrogo podniesiony, ostry głos, mówiący gdzieś daleko: — Wprowadzić tu tego pana.

Razumow wszedł śmiało. Czuł się nietykalnym; wywyższonym ponad pospolite ludzkie sądy. I choć wiedział, że książę patrzy na niego z nietajomem niezadowolaniem i nie prosi go siedzieć, nie stracił ani na chwilę pewności siebie.

W pół godziny potem ukazał się obaj w hallu. Lokaje wstali i dopomogli księciu, z trudnością poruszającemu się na swych podagrycznych nogach, otulić się w futro. Powóz już czekał, na skutek wydanego uprzednio rozkazu. Gdy wielkie podwoje otwarły się ze stukiem, Razumow, który stał w milczeniu, usłyszał głos księcia:

— Podaj mi ramię, młodzieńcze.

Pełne spokoju i godności opowiadanie Razumowa wywarło głębokie wrażenie na ruchliwym, powierzchownym umyśle byłego gwardzisty, salonowca, doświadczonego jedynie w miłosnych zabiegach i światowych intrygach.

Powiedział mu:

— Nie. Wszystko zważywszy, nie mogę ci wziąć za złe, żeś się odważył przyjść do mnie z twoją opowieścią. To nie jest policyjna sprawa... Rzecz to ogromnej wagi... Bądź spokojny. Dopomogę ci w tem nadzwyczajnem i tak dalece trudnem położeniu.

Powiedziawszy to, książę wstał i zadzwonił, a Razumow skłonił się i rzekł z uszanowaniem:

— Zawierzyłem memu instynktowi. Młodzieniec, nie mający nikogo na świecie, zwrócił się w chwili, która wystawiła na próbę jego najgłębsze przekonania polityczne, do znakomitego rosyjanina—to wszystko.

Książę wówczas zawołał:

— Zrobiłeś dobrze.

W powozie — była to mała karetka na płożach — Razumow prze-rwał milczenie lekko drżącym głosem:

— Wdzięczność moja przecho-dzi moje najśmielsze nadzieje.

Zatknęło go; bo uczył nagle w ciemnościach przelotny uścisk ręki:

— Zrobiłeś dobrze — powtórzył książę.

Dalszy ciąg nastąpi.

## Montaigne Boy'a.

Swawolny piosenkarz kabaretów krakowskich, dowcipny ironista cnót podwawelskich snadź nie zadowolili się rytmiczną canzoną, oczyszczającą bóle duszy. Świat wkleśłych szkieł nie wystarczył do odkarmienia zgłodniałej wrażliwości. Jasnienie wielmożny pan Boy z uliczek starego Krakowa, pełnych snobizmu, stęchlizny i zgnilizny, umyślił przedostać się w ramiona zdrowej, jędrnej atmosfery moralnej wieków ubiegłych. Powrócił do pana Reya z Nagłowic. Upodobał sobie nawet jego teżyznę, ale meblunek głowy wydał mu się zbyt, jak na owe czasy, małoza-sobnym. Nie wiele więc zważając na trudności komunikacyjne, pojechał do innego klimatu „po większe zapasy oleju“.

I znalazł te zasoby w starych klasykach francuskich, których iął skwapliwie mowie polskiej przyswajać. Dał „Rabelais'a“ pięć tomów, Moliера sześć książek, Marivaux, Brantoma, Montesquieu, Lacroix, Woltera, Balzaca a nawet Verlaine'a. Znalazło się też miejsce dla Beaumarchais'a, Diderota, Rousseau, Racina i Crebillona. W ten sposób wydostał się z miazmatów współczesności przedwojennej—a od wojny ratować się począł Montaigne'a pismami. Wtedy dojrzał projekt, że należy stworzyć własną bibliotekę Boy'a. Będzie ona w doborze pism osobistym wykładnikiem gustów wesołego ironisty krakowskiego i pokaże, jakie światy pociągają jego zainteresowania. Nie uważa za potrzebne dowodzić racjonalności wyboru tych a nie innych pism do przekładu. Daje to, co pociąga jego wrażliwość intelektualną. Nie troszczy się wcale o to, co powie moralista lub snob zakatarzony. Mówi sam o sobie Boy: „Co się tyczy programu, to jak i dotąd, starczy mi zań moja osobista przyjemność; jeśli przypadkowo zejdzie się ona, tu i owdzie, z ogólnym pożytkiem, nie mam nic przeciwko temu“.

Do Montaigne'a wziął się podczas wojny. Zaciągnięto Boy'a w szeregi armii, przystrojono mundurem austriackim i rozkazano pełnić służbę, do której nie nawykł. Boy i tu, wśród obcych sobie zamiłowań, znalazł czas, by znów nie patrzeć na to wojenne dziś zbyt jednostronnie. W rzadkich chwilach wolnych od służby wojskowej skwapliwie wraca do „Prób“ Montaigne'a. Te „Próby“ stały się próbą duszy. Tyle przecież mówi się teraz o wojnie i o chwilach przełomowych, że nie stać nas już na nic, na żadne własnej duszy świadome budownictwo. Czyż nie jest wskazane w takie właśnie chwile umieć spojrzeć w głąb własnego serca i sumienia?

Boy lata wojny nie chce zmarnować bez pożytku dla duszy własnej. Tłómaczy więc skwapliwie całego Montaigne'a i rzuca na rynek księgarski pięć estetycznie wydanych tomów jego pism. Poprzedza swoje tłumaczenie rzeczowo opracowaną a rozumowaną biografią Montaigne'a, w której stara się wyświe-tlić psychologię wielkiego mędrca francuskiego. O wstępie swoim mówi, że jest trochę „feldgrau“ — ale nie należy temu zbyt wiele wierzyć. Boy kokietuje dyletan-

tyzmem. Zresztą Boy i Montaigne'owi czyni podobny zarzut. Ten człowiek szczery i prawdą żyjący aż do dna swojego jestestwa był na jednym punkcie tylko wrażliwym: Zawsze chciał uchodzić za magnata, posiadającego w rodzie tylko szlachtę, a złośliwa kronika mówiła o kupczykach z Bordeaux. Można mu jednak darować tę drobną śmiesznośc. Wydzwignął myślą swoją z niebytu tak bogaty świat intelektualny, że jeszcze dziś promieniuje on i pociąga. Boy mówi o „Próbach“: „Dziwna w istocie książka! Póki ją mamy w ręku, brniemy, zacieka-wieni, rozbawieni nieraz, przez ten gąszcz klójących się z sobą wywodów, wątpliwych anegdot, niedyskretnych zwie-rzeń; — kiedy oddalimy się od niej, wy-lania się we wspomnienie jakaś organiczna, harmonijna całość, wyrasta jakiś po-tężny tom myśli ludzkiej, w którym o-gromny centralny rozdział, Apologia Raj-monda Sebonda — człowiek w obliczu nieskończoności — staje się głównym, środkowym ołtarzem: prawda, iż prze-znaczonym dla nabożeństwa dość osobli-wego obrządku“ (Str. XXV).

Obrządek ten bowiem przewiduje, że... „młodości przystoi powaga, a sta-rości płochość“. Montaigne'a powsze-chnie uważa się za sceptyka. Niech jednak nikt nie tego sceptycyzmu zbyt łatwo nie sądzi! Płyne on z ludzkich przeświad-czeń i z przeczuć „krytyki czystego ro-zumu“. Narzędzia poznania wysubtel-nia już na kilka wieków przed Kantem i staje się rodzicem dziwnej paranteli: Czerpie z niego przecież żarliwy zelant Pascal, w nim szuka ukojeń i błogosła-wieństw Wolter, a Rousseau przez Mon-taigne'a staje się sprawcą rewolucji.

„Próby“ Montaigne'a czyta się i dziś z wielkiem zainteresowaniem i napięciem uwagi. Rozważne sądy o wątpliwościach, jakie człowiekowi niesie pamięć i do-świadczanie, przeplata Montaigne ceka-wymi opowiastkami obyczajowem. Ta obyczajowa strona książki jest niezmiernie pociągająca i teżyzną swoją razi nieraz dobrze wychowane oczy i uszy. Zdrowie jednak niesie i to zdrowie jędrne, męskie. Masa przytem cytat łacińskich i greckich otwiera przed nami tajemnice wielkiego odczytania imię pana Michała z Montaigne.

„Próby“ Montaigne'a ludziom na u-myśle zdrowym a ciekawym napewno dostarczą wiele rozkoszy i usprawiedli-wią tem mozoł imię pana Boy'a z Krako-wa, który, choć tłómaczył je dla własnej przyjemności, lecz wydał ad majorem gloriam reipublicae Polonorum. Już za przykład Moliера akademii francuska ozdobiła Boy'a iegią honorową, co wyraż-nie wskazywało, że niebawem tylko Że-liński Tadeusz statecznie prace swoje podpisywać zacznie. Boy jednak uko-chał bardziej swoją przyjemność, niż po-wagę. I znów stanął z Montaigne'a „Próbami“ w szacie dawnej, prostej — a bez patosu. Polszczyzna jego przytem jasna i słoneczna mogłaby służyć za wzór dla tych wszystkich napuszonych a pustych retorów, co chcieliby dźwigać ojczyznę nie treścią czynów, lecz dzwięcznością słów.

Eustachy Czekalski.